

PRZEŻYLIŚMY GROSS-ROSEN

**Tom II Filie obozu koncentracyjnego
Gross-Rosen**

Zeszyt 1 Kommando Landeshut

Na prawach rękopisu

**Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
Dzielnica Warszawa-Śródmieście - Koło Nr 1
Komisia Historyczna Środowiska Gross-Rosen**

Warszawa 1982

3. ZAMIAST WSTĘPU

Od kilku lat w środowisku byłych więźniów hitlerowskiego obozu koncentracyjnego Gross-Rosen rodziła się myśl o konieczności pozostawienia czegoś trwalszego i przeznaczonego dla pokoleń. Myśl ta była tym intensywniejsza im mniej z nas pozostało w kręgu żywych. Kiedy zaś myśl przybierała coraz bardziej realny kształt, postanowiono przygotować materiały do zamierzonego wydania książkowego. Zaczęto zastanawiać się nad formą i treścią tego wydania. Po długich i żarliwych dyskusjach, wśród których nie brak było również wniosków, aby stworzyć dzieło niemal monumentalne, postanowiono, że będzie to wydawnictwo o charakterze monograficznym pozbawione wspomnień osobistych, w których mogłyby przeważać tendencje noszące znamiona licytacji własnych doznań i przeżyć autorów.

Celem tych opracowań nie jest rozdrapywanie wiecznie palących ran, nie zagojonych do dziś, mimo tak znacznego upływu czasu. Opracowania te nie wskrzeszą przecież zmarłych.

Istotnym pragnieniem autorów opracowań monograficznych filii obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, zwanych w obozowym żargonie Komandami, było wykazanie, że życie w tych filiach w niczym nie było złejsze i lepsze od warunków życia w Stammlagrze, a wręcz przeciwnie - okropieństwa tam mające miejsce były czasami bezprzykładnymi w swojej grozie.

Wszystkie opracowania zamieszczone w tym wydawnictwie powstały w wiele lat po zakończeniu wojny. A zatem siłą tego faktu nieubłagany czas znacznie przytępił ostrość spojrzenia na doznane krzywdy, głód i okrucieństwo. Tym niemniej jednak przeżycia te tkwią głęboko w świadomości b. więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Wprawdzie pamięć ludzka mogła nas w niektórych momentach zawieść, jednak fakty o znaczeniu zasadniczym są przedstawione możliwie jak najwierniej.

Jeśli zaś przyjdzie nam wyjaśniać cel tych opracowań, niech za wszelkie wyjaśnienia posłużą czytelnikom te krótkie słowa naczelnego hasła, jakie nam przyświecało i przyświeca: NIGDY WIĘCEJ!!

Zdzisław Rałł

Listopad 1982 r.

4. FILIA OBOZU GROSS-ROSEN W LANDESHUT /Kamienna Góra, woj. jeleniogórskie/

Powstanie grossroseńskiej filii obozu koncentracyjnego w Landeshut wiąże się z potężnymi, dywanowymi nalotami amerykańskich "latających fortec", dokonanymi na Schweinfurt a/M w dniach 17 sierpnia i 14 października 1943 r. W wyniku tych nalotów, nb. okupionych przez USA dotkliwymi stratami w ludziach i sprzęcie, został osiągnięty główny cel: zbombardowano fabrykę łożysk a właściwie kombinat, zaspokajający do tego czasu ponad 50 proc. potrzeb niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. W związku z tym Niemcy postanowili dokonać podziału ocalałych resztek kombinatu, tworząc z nich niewielkie filie rozsiane po całych Niemczech.

Jedną z takich filii umiejscowiono w Landeshut.

Pierwszy transport więźniów z obozu Gross-Rosen, w liczbie około 800 osób, przybył do Landeshut w dniu 17 lipca 1944 roku rano, po całonocnej podróży towarowymi wagonami.

Obóz usytuowano w zachodniej części miasta u podnóża góry, nad rzeką Bóbr. W miejscu obozu Landeshut był uprzednio obóz francuskich jeńców wojennych, z których część jeszcze przez jakiś okres czasu po przywiezieniu więźniów z Gross-Rosen zamieszkiwała w bloku znajdującym się poza obrębem drutów kolczastych. Blok ten z czasem zaadaptowano na obozową kuchnię.

Francuzi pozostawili po sobie pamiątki na ścianach wewnętrznych bloków w postaci rysunków opatrzonych napisami w ich języku.



Obóz w Landeshut - widok ogólny. Na pierwszym planie od lewej bloki II i I na drugim planie dach bloku V oraz blok IV i III..

Zdjęcie powojenne. Nr arch. Gross-Rosen 3.2.1.6

Warunki bytowania

Pierwotnie za obozowymi drutami znalazły się cztery murowane jednopiętrowe bloki mieszkalne. Później zaś, mniej więcej we wrześniu 1944 roku, zasięgiem obozowych drutów objęto piąty blok od strony południowo-wschodniej, przeznaczony na kuchnię, funkcjonującą do tego czasu w prowizorycznym baraku drewnianym poza drutami. Obóz był systematycznie rozbudowywany, budowano nowe bloki dla więźniów.

Przywiezieni w lipcu 1944 roku do landeshuckiego obozu więźniowie zostali zakwaterowani w blokach, posiadających na każdej kondygnacji umywalnię z bieżącą, zawsze lodowato zimną wodą. Każdy blok posiadał osiem izb mieszkalnych po około 50 m² powierzchni każda oraz dwa niewielkie pokoiki na piętrze, w których zamieszkiwali obozowi promineneci.

Zwykle izby mieszkalne były wyposażone w 25 jednopiętrowych podwójnych prycz do spania, stół, taborety drewniane. Sztuba posiadała ponadto dwa niewielkie piecyki kaflowe w metalowych ramach, opalane węglem. Niewielka wydajność tych piecyków oraz brak opału przydzielanego w niewystarczającej ilości i ostra zima 1944/45 sprawiały, że w nocy na niektórych blokach woda zamarzała w wiadrach. Prycze do spania posiadały sienniki i podgłówki wypchane drewnianymi wiórami. Poza tym na pryczach znajdowały się dwa cienkie koce z tkaniny wełnopodobnej.

Wyjątkiem w zakresie wyposażenia prycz był oddany do użytku w październiku 1944 roku blok V, gdzie legowiska do spania były pozbawione zarówno sienników, jak i podgłówek. Na bloku tym obowiązywał rygorystyczny nakaz okrywania wiórów drewnianych wypełniających pryczę jednym z posiadanych kocy. Do okrycia pozostawał jedyny, cienki koc.

Więźniowie byli całkowicie pozbawieni możliwości kąpieli. Brak było także bielizny osobistej do wymiany. Dopiero w listopadzie 1944 roku po raz pierwszy dokonano ogólnej zamiany bielizny. W tym stanie rzeczy już na przełomie sierpnia i września 1944 roku pojawiły się wszy, których nie mogły później zlikwidować żadne paliatywne środki, jak na przykład przeprowadzane od grudnia 1944 roku, w odstępach miesięcznych, prania bielizny w prymitywnej pralni. Więźniowie oddawali do prania jedyny posiadany komplet bielizny, który otrzymywali mokry po dwóch dniach. Z konieczności suszyli więc bieliznę własnym ciałem. Czasem udawało się tego dokonać na terenie zakładu pracy przy kaloryferach, ale związane to było z możliwością jej utracenia.

Te pralnicze operacje nie zlikwidowały wszawicy, jako że insekty gnieździły się w odzieży zewnętrznej oraz w kocach. Codzienne kontrole koszul pod lampą, przeprowadzane przez wyznaczonych higienistów na sztubach i bicie więźniów w przypadku znalezienia przy tym chociaż jednego insekta były środkiem prowadzącym do udręczenia, a nie podniesienia stanu higieny w obozie.

Bardzo uciążliwymi stały się rozmnażające się ponad wszelką wyobraźnię pchły, panujące niepodzielnie w parterowych sztubach tzw. "Schonungu" na II bloku.

Na przełomie lipca i sierpnia 1944 roku na II bloku został utworzony szpital obozowy, zwany "Revierem", który początkowo zajmował jedną sztubę na piętrze. W końcowym okresie, w 1945 roku "Revier" zajmował już całe piętro, z tym, że trzy sztuby i dwie izolatki /pojedyncze pokoiki/ były zajęte przez chorych. Z jednej sztuby zrobiono izbę przyjęć, gabinet dentystyczny i pomieszczenie dla prominentów.

Początkowo personel lekarski stanowił jeden lekarz, Polak, o nazwisku Lebiedyński, pochodzący z Trzebini. Później zaś obowiązki dentysty pełnił więzień narodowości francuskiej. Funkcję Revierkapo pełnił Polak o nazwisku Toczyńska, były elew szkoły kadetów we Lwowie. Funkcje sztabowych pełnili Polacy, a między innymi Tadeusz Ossowski pochodzący z Warszawy, cyniczny zbrodniarz i sadysta, Marian Stępień /sztabowy 2/ i inny o imieniu Marek, nieznanego nazwiska. Sanitariuszami rewiru byli: Leon Kołakowski /od grudnia 1944 roku/ i Ryszard Raczyński.

Warunki bytowania chorych na rewirze były zbliżone do panujących w całym obozie. Chorzy korzystali z tego samego wyżywienia. Brak możliwości kąpieli i zmiany bielizny stanowiły wspólny mankament dla wszystkich. Dopiero w kwietniu 1945 roku w rewirowej umywalni wybudowano kocioł z paleniskiem w celu umożliwienia chorym kąpieli, a także wygotowywania bielizny.

Śmiertelność na Revierze była znaczna, co było spowodowane brakiem lekarstw i środków opatrunkowych. Bezpośrednimi przyczynami śmierci była przede wszystkim głodowa biegunka i dezynteria, a ponadto flegmona, gruźlica, ogólne wycieńczenie organizmu, zapalenie płuc. Były także nieliczne wypadki tyfusu plamistego.

Do osobistego wyposażenia więźnia należała jedynie łyżka i miska. Więzień nie mógł mieć noża lub scyzoryka, bowiem ich posiadanie było uważane za sabotaż i karane biciem i katowaniem w sposób odbierający resztki sił i zdrowie.

Do przekrojenia chleba sztabowy dysponował jednym lub dwoma nożami, które zawsze musiały pozostawać na sztabie. Osobisty nóż zastępowała niekiedy więźniowi wyostrzona w miarę możliwości rękojeść aluminiowej łyżki. Posiadaną miskę i łyżkę więzień miał obowiązek zabierać ze sobą do pracy, gdzie otrzymywał żupę. Brak możliwości mycia tej miski pogarszał i tak dotkliwe niedostatki w zakresie warunków higieniczno-sanitarnych.

Pierwszy transport więźniów do Landeshut był odziany wyłącznie w więzienne pasiaki i obozową, typową bieliznę. Niektórzy mieli ubrania letnie, płócienne, w których byli zmuszeni przetrwać całą zimę. Późniejsi "cugangowie" przywożeni z Gross-Rosen w październiku 1944 roku byli odziani w więzienne pasiaste płaszcze, bez podszewki.

Nielicznym więźniom zatrudnionym na wolnym powietrzu, w Baukollonne i Hofkollonne, wydano na przełomie października/listopada 1944 roku znoszone kurtki cywilne, z reguły pozbawione watoliny i innych ocieplających materiałów.

Dopiero w końcu grudnia 1944 roku lub na początku stycznia 1945 roku wydano ogółowi bądź kamizelki od garniturów, bądź swetry bez rękawów /nieliczni otrzymali z rękawami/ z przędzy wełnopodobnej. Dla znacznej większości stanowiło to jedyną cieplejszą odzież, w której przyszło im przeżyć zimę 1944/45 przy jednoczesnym wielogodzinnym wystawianiu na apelach, na mrozie, śniegu, deszczu i wichrze.

Próby ocieplenia odzieży papierem, torbami po cemencie, ręcznikami oraz ścinkami przędzy bawełnianej, używanej jako czyściwo do maszyn, a podszywanymi pod więzienne pasiaki, było surowo zabronione i karane ciężkim biciem. Ujawnianie tego rodzaju "przestępstw" następowało przeważnie przez Kapo przy wejściu do ubikacji w fabryce.

Powszechnie używanym obuwiem więźnia były obite parcianką drewniak, ulegające bardzo szybkiemu zniszczeniu. Duża część więźniów chodziła więc do początku zimy 1944/45 roku w drewniakach-patynkach, posiadających pokrycie jedynie na palcach stóp.

Przy jednoczesnym braku skarpet, a nawet jakichkolwiek materiałów na onuce, zimno było nader dokuczliwe, zwłaszcza w czasie śłot czy opadów śniegu.

Wyżywienie więźnia nie przekraczało według przybliżonych obliczeń 1200-1300 kalorii dziennie. Składało się ono:

1/ śniadanie - 1/2 l. wodnistej polewki zaprawianej mąką lub z tzw. czarnej kawy bez cukru,

2/ obiad - 3/4 l. zupy,

3/ kolacja - 1/2 l. zupy plus 1/4 bochenka chleba /około 200 gramów/ oraz czasami 10-20 gramów margaryny lub kiełbasy końskiej, niekiedy marmolady, twarogu, melasy lub ikry albo mlecza z solonych śledzi.

Można tu mówić przy tym o pewnym zróżnicowaniu racji żywnościowych. Na przykład latem 1944 roku podawano dość często w zupach jakąś gotowaną zieleninę. We wrześniu 1944 roku podawano bardzo często, po kilka razy w tygodniu gotowaną dynię z ziemniakami, bardzo wodnistą.

Jesienią 1944 roku podawano dość często gotowane buraki z ziemniakami, a także krupnik z kaszy jęczmiennej. Były także nieliczne przypadki zmiany na lepsze, kiedy w przystępie dobrego humoru obozowych władz więźniowie otrzymywali bochenek chleba na trzech, a nawet na dwóch więźniów. Na Boże Narodzenie 1944 roku, Nowy Rok 1945 i na Święta Wielkanocne 1945 roku trzykrotnie wydano więźniom kluski-kopytka /po dziewięć sztuk/ z gulaszem. Raz jeden dano na śniadanie nawet makaron na mleku.

Nieodłącznym i bardzo uciążliwym towarzyszem normalnego więźnia, nie otrzymującego paczek z zewnątrz, był ustawiczny ssący trzewia głód. Do najgorszych pod względem wyżywienia zaliczyć należy okres około trzech tygodni od połowy lutego do początków marca 1945 roku, po ewakuacji fabryki łożysk, zatrudniającej więźniów. Wówczas to więźniowie dostawali rano i wieczorem wyłącznie po pół litra namiastki herbaty lub kawy, 1/8 lub 1/10 część około 800-gramowego bochenka chleba, a w południe pół litra wodnistej cieczy zwanej zupą, w której można było czasami znaleźć listek kapusty lub brukwi. Wtedy to stały się niemal powszechne przypadki opuchlizny głodowej, biegunek oraz dezynterii, a także zasłabnięć z głodu.

W połowie marca 1945 roku większość więźniów została zatrudniona przy budowie umocnień i okopów przeciwczołgowych na dalekich przedpolach miasta. Roboty nadzorował Wehrmacht. Wówczas to do obozowego menu wszedł bobik pastewny, zwany "końskim zębem", groch, soczewica i inne produkty zdobywane przez więźniów pod nadzorem SS-manów, wprost na linii frontu na "Niemandslandzie".

Tylko około pięć procent ogólnej liczby więźniów korzystało z paczek żywnościowych od rodzin zamieszkałych na zachód od Wisły. Paczki te ratowały bardzo często życie więźniów. Z wyjątkiem nielicznej grupy Czechów, otrzymujących paczki jeszcze w kwietniu 1945 roku, pozostali nie mogli korzystać z tej formy pomocy ze strony rodzin na wolności, mniej więcej od końca stycznia 1945 roku. Brak tych paczek pogłębiał i tak tragiczną sytuację wyżywienia.

Jednym z faktów obrazujących siłę głodu był przypadek, w którym SS-man opiekujący się psami, karmionymi przecież znacznie lepiej od więźniów, zaproponował dwóm więźniom "próbę sił", polegającą na odebraniu miski strawy karmionemu właśnie psu. W nagrodę więźniowie mieli zapewnione prawo zjedzenia psiej zupy. Mimo krwawiących ran od klów rozwścieczonego zwierzęcia i bólu, po zaciętej walce więźniowie gołymi rękami zwyciężyli psa.

Niektórzy więźniowie posiadający w depozycie obozowym marki niemieckie i tzw. "Prämiescheiny" wydawane za dobrą pracę, mogli kupować ograniczone ilości papierosów lub machorki. Musieli jednak kupować także przy tym takie artykuły, jak kiszoną brukiew, ślimaki w marynacie, buraki w occie, kapustę kiszoną, śledziową ikrę i mlecz itp. Była to łączona sprzedaż towarów z zapasów grossroseńskiej kantyny.

Papierosy i tytoń stanowiły obozową walutę wymienną, za którą można było zaskarbić sobie łaski jakiegoś obozowego bonzy, kupić potrzebną część garderoby lub trochę żywności, zapłacić za usługi itp. Obecny przy zakupach Lagerältester Richard Peter z reguły zabierał część zakupionych papierosów.

W końcu stycznia 1945 roku ustał dopływ towarów z kantyny w Gross-Rosen.

Gwoli ścisłości trzeba wspomnieć, że w niezmiernie rzadkich, sporadycznych przypadkach wspomagali więźniów Niemcy cywilni, zatrudnieni w fabryce. Czynili to skrycie w obawie przed represjami, wbrew wyraźnym zakazom i propagandzie, głoszącej, że wszyscy więźniowie są bandytami.

Obowiązujący w landeshuckim obozie reżim należy uznać za bardzo surowy. Za sabotaż było uważane czytanie i posiadanie gazet, prowadzenie jakiejkolwiek rozmowy na tematy polityczne, nie mówiąc o ucieczce. Mimo to więźniowie zdobywali czasami gazety, które czytano skrycie, dzieląc się później wieściami z innymi. Sabotażem było również zaśnięcie przy pracy. Przypadki pobicia za tego rodzaju przewinienia były nader częste.

Więźniowie posiadający rodziny w centralnej Polsce nie mogli do nich pisać. Wysłanie listu drogą nielegalną mogło kosztować życie - było również traktowane jako sabotaż.

W czasie dwunastogodzinnej pracy wolno było więźniom korzystać z ubikacji tylko raz dziennie w czasie przerwy na posiłek około godziny 12 w dzień i o północy.

Zorganizowanej akcji kulturalno-oświatowej w Landeshut nie prowadzono. Były jednak przypadki przekazywania przez ludzi światłych swojej wiedzy innym. Miało to najczęściej formę pogadanek. Na 2 sztabie I bloku był więzień o imieniu Kazik, który jako zagorzały kinoman znał mnóstwo filmów. Ich treść opowiadał barwnie, już po wieczornym capstrzyku, nierzadko do późnej nocy.

Na terenie obozu znajdowały się przynajmniej dwa akordeony, z których jeden był własnością Zdzisława Węsa, bardzo często zapraszanego na sztaby do innych bloków, gdzie popisywał się swoją grą. Drugi akordeon posiadali młodociani warszawiacy z Powstania. I ci również koncertowali i śpiewali. W śpiewaniu pieśni świeckich brylowali Rosjanie.

W czasie świąt Bożego Narodzenia 1944 roku daliśmy popis śpiewaczy kolęd, któremu przysłuchiwali się spoza drutów obozu SS-mani i okoliczni Niemcy.

Warunki pracy

Zasadniczym zadaniem więźniów była praca na rzecz fabryki łożysk pod firmą Kramsta Methner und Frahne. Fabryka była usytuowana w trzech oddzielnych budynkach zwanych powszechnie z niemiecka Werkami.

Werk I znajdował się w odległości 700 metrów od obozu w pomieszczeniach ewakuowanej fabryki tekstylnej, lniarskiej. Zasadniczym zadaniem zakładu było toczenie pierścieni do łożysk, a następnie ich hartowanie. Ponadto znajdowała się tam kuźnia i war-

sztaty remontowo-naprawcze maszyn. Na Werku I praca trwała dzień i noc po 12 godzin, przy czym na dziennej zmianie było zatrudnionych około 400 więźniów, zaś na nocnej 300.

Werk II usytuowany bliżej centrum miasta w odległości około 1200 m od obozu. Jego zadaniem był montaż łożysk, ich szlifowanie, ostateczna kontrola jakości, pakowanie i wysyłka. Zatrudniano tam około 400 więźniów, tylko na dzienną zmianę.

Werk III był usytuowany w odległości około dwóch kilometrów od obozu, w północno-zachodniej części przedmieścia. Była to budowla nie zakończona całkowicie aż do wyzwolenia w maju 1945 roku. Zasadniczym tu zadaniem było tłoczenie, a właściwie sztanconie surowych pierścieni z rozgrzanych do białości belek stalowych. Pierścienie te podlegały następnie obróbce tokarskiej na Werku I.



Landeshut - Wnętrze Werku III Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.1.2.

Wytwórnę tę uruchomiono przy udziale więźniów dopiero w październiku 1944 roku. W wytwórni zatrudniano około 350 więźniów, tylko na dzienną zmianę. Ogólne warunki pracy na tym Werku były oceniane jako najcięższe. Występowały tam największe różnice temperatur przy piecach elektrycznych i w przeciągach spowodowanych zawsze otwartymi wrotami. Ciężkie stalowe belki dźwigały więźniarskie barki.

Na Werku III zatrudniano większość spośród 50 młodocianych więźniów w wieku 13-17 lat, przywiezionych do Landeshut w dniu 2 listopada 1944 roku z Powstania Warszawskiego via Auschwitz. Z Werku III pochodziła większość pacjentów Reviery ze schorzeniami płuc. Tam też w modernicznych warunkach odbywała swój "staż" część karnej kompanii, utworzonej w połowie lutego 1945 r.

Przez okres kilku pierwszych tygodni od lipca do sierpnia 1944 roku więźniowie przechodzili w zakładach okres przyuczenia do zawodu. Później zaś wszędzie, gdzie to było możliwe, a więc przy tokarkach, szlifierkach wprowadzano wyśrubowane normy pracy. Niewykonanie normy było karane biciem.

W tym miejscu należy podkreślić, że normy pracy były świadomie

sabotowane. Na przykład przy pracy na dużych pittlerowskich obrabiarkach wystarczyło wyłączyć sprzęgło. Tylko wprawne oko mogło wtedy dostrzec, że maszyna jedynie pozornie pracuje, bo faktycznie nie toczy. Były też inne przejawy sabotaży, jak: łamanie noży tokarskich z drogiej i trudnodostępnej stali widiowej. Niektórzy więźniowie w przemyślny i sobie tylko znany sposób psuli maszyny tokarskie i szlifierskie, powodując przestoje. Inni zaś rozmyślnie niszczyli wyroby. W hartowni był zatrudniony polski inżynier, który tylko sobie znanym sposobem zmieniał termiczne warunki procesu hartowania łożysk, co powodowało ich pękanie po krótkim czasie eksploatacji, a jednocześnie uniemożliwiało wykrycie nie tylko przyczyny, ale i sprawcy.

Pracę więźniów, przybyłych do obozu w lipcu 1944 roku, nadzorowali początkowo jeńcy włoscy i radzieccy oraz cywilni Niemcy. Najwcześniej, bo już w sierpniu 1944 roku, zabrano jeńców włoskich. Z pozostałymi jeńcami radzieckimi współpraca układała się dobrze. Jeńcy ci korzystali z wyżywienia przysługującego Niemcom, a więc znacznie lepszego od więziarskiego. Wspomagali oni wielokrotnie więźniów. Na przełomie listopada i grudnia 1944 roku jeńcy radzieccy nie pokazali się już więcej w fabryce.

Początkowo stosunek niemal wszystkich cywilnych Niemców do nas był zdecydowanie wrogi. Później uległo to pewnej zmianie. Były więc przypadki, aczkolwiek bardzo rzadkie, wspomagania więźniów. Zdecydowana większość Niemców traktowała więźniów chłodno, obojętnie lub wręcz wrogo. Były także częste wypadki pobicia więźniów przez cywilnych majstrów.

Na II Werku zatrudniono kilka cywilnych bardzo młodych radzieckich dziewcząt. Dziewczęta te przekazywały więźniom w różny sposób najświeższe wiadomości z frontu, tak bardzo potrzebne i krzepiące ducha. Czyniły to dość sprytnie - najczęściej w głośnych rozmowach między sobą, których treść była w gruncie rzeczy adresowana do więźniów.

Niezależnie od stałej pracy w dni powszednie, więźniów zaganiano niejednokrotnie do pracy niedzielnej. Najczęściej urządzano formalne łapanki do morderczej pracy na Werku III, będącym w budowie. Praca, przy akompaniamencie wrzasków i bicia, polegała na noszeniu ciężkich, ponad siły, materiałów budowlanych, na przykład belek stalowych.

Reżim przy pracy był bardzo srogi. Pracującym przy maszynie nie wolno było usiąść lub przeć się. Wymaganą postawą przy pracy był ciągły ruch, chociaż często pozorowany.

Praktycznie więzień budzony o godz. 4,30 był do godz. 21,30 niemal bez przerwy na nogach. Nic więc dziwnego, że w nocy często występowały silne i bardzo bolesne, odbierające sen, kurcze nóg w łydkach.

Znajdująca się w obozie, w liczbie około 100 osób, młodzież w wieku poniżej 18 lat nie korzystała w pracy z żadnych przywilejów.

Tak jak we wszystkich obozach koncentracyjnych, więźniowie obozu w Landeshut nie otrzymywali za swoją dwunastogodzinną pracę - często ponad siły - żadnego wynagrodzenia. W drodze wyjątku, jako wyróżnienie, więzień mógł otrzymać tzw. "Prämienschein" o wartości 1-2 marki.

Więźniowie

Większość więźniów obozu w Landeshut stanowili Polacy z transportu warszawskiego, przybyłego do Gross-Rosen 5 lipca 1944 roku



1592/64

i białostockiego, przybyłego do Gross-Rosen 11 lipca 1944 roku. Później stan liczbowy był ciągle uzupełniany więźniami z transportów: lwowskiego, krakowskiego, tarnowskiego i innych. Początkowo więc więźniami Landeshut byli głównie Polacy i w niewielkim procencie Białorusini, Ukraińcy, Niemcy.

W końcowym okresie w maju 1945 roku w obozie znajdowało się około 1600 więźniów: Polaków, Rosjan i innych obywateli ZSRR, Czechów i Słowaków, Jugosłowian, Ukraińców i Białorusinów z terenu Polski, Niemców oraz kilku Żydów, Francuzów i jeden Albańczyk i Belg.

Większość więźniów polskich stanowili żołnierze Ruchu Oporu AK, AL, PAL i BCH. Ponadto w środowisku polskim byli także, jako polityczni, uciekinierzy z przymusowych robót i sprawcy drobnych kradzieży. Kilkuosobową grupę polskich więźniów stanowili zdekonspirowani rzekomi członkowie Organizacji Todt, którzy wykorzystując sfałszowane papiery tej organizacji, jeździli w celach handlowych i konspiracyjnych po całej Europie.

W grupie obywateli ZSRR dużą część stanowili jeńcy wojenni, skierowani do obozu koncentracyjnego. Byli wśród nich również zbiegowie z robót przymusowych, sabotażyści, a nawet partyzanci z Polesia. Wśród więźniów jugosłowiańskich znajdowali się partyzanci zgrupowań lewicowych, a także czetnicy i ustasze. Wśród Ukraińców było wielu kolaborantów, którym podwinęła się noga, bądź też usiłujących zmienić front, przeciwko Niemcom.

Wśród więźniów występowały rozliczne zawody, jak: oficerowie służby czynnej, nauczyciele, rolnicy, szewcy, krawcy, fryzjerzy, metalowcy, górnicy, hutnicy, lekarze, adwokaci, cieśle, murarze, stolarze, elektrycy.

W sierpniu 1944 roku, spośród więźniów urodzonych po 1926 roku utworzono tak zwaną sztubę dla młodocianych. Na sztubie tej znalazło się około pięćdziesięciu więźniów, przeważnie Polaków. Byli tam także dwaj obywatele ZSRR i śląski Niemiec, mówiący doskonale po polsku, o nazwisku Reinhold Katscher.

Sztuba dla młodocianych została usytuowana na piętrze bloku kuchennego po stronie południowo-zachodniej. Praktycznie młodociancy nie korzystali z żadnych przywilejów zarówno w pracy jak i w obozie. Bliskość zakwaterowania z kucharzami przez ścianę sprawiała, że młodocianie czasami otrzymywali od kucharzy ich porcje zupy. W połowie października 1944 roku młodocianych rozesłano na normalne bloki więźniarskie i sztuba młodocianych uległa likwidacji.

W dniu 2 listopada 1944 roku do Landeshut przywieziono wprost z Auschwitz grupę 50 więźniów młodocianych /roczniki 1927-1931/ z Powstania Warszawskiego. Więźniowie ci zostali ulokowani w specjalnie dla nich opróżnionej sztubie nr 2, na piętrze I bloku po stronie północno-wschodniej. Więźniowie ci wyróżniali się granatowymi, niemal jednolitymi, znacznie lepszymi ubraniami cywilnymi. Większość z nich została skierowana do pracy na Werku III. I oni również nie korzystali z żadnych przywilejów.

W odniesieniu do Polaków, Rosjan, Jugosłowian, za powód do zesłania do obozu wystarczało w zasadzie policyjne orzeczenie "verdächtig" /podejrzany/. Większość oskarżona o antyniemiecką działalność polityczną nie była nigdy przed żadnym sądem, nie udowodniono jej żadnej winy. Niewielka jedynie część więźniów została osadzona w obozie pod konkretnym zarzutem, jak np. ucieczka z pracy na terenie Niemiec. Były też uwięzienia za takie przewinienia, jak kradzież chleba lub innych drobnych przedmiotów. Do osadzonych w obozie z wyrokami sądowymi zaliczali się Czesi, i Niemcy.

Ci ostatni, poza kilkoma noszącymi zielone i czarne "winkle", w przeważającej większości byli traktowani jako polityczni. Tym niemniej, z małymi wyjątkami, Niemcy w landeshuckim obozie byli najokrutniejszymi zbrodniarzami i oprawcami.

Na przestrzeni od 17 lipca 1944 roku do maja 1945 roku obóz był uzupełniany tzw. "Zugangami". Pierwszy transport, liczący około 700-800 osób, został zakwaterowany w blokach I, II, III. Następne "Zugangi" pochodzące z więzień w Krakowie, we Lwowie i Tarnowie, dotarły w końcu lipca i w sierpniu 1944 roku w liczbie 200-300 osób. Zakwaterowano je w bloku IV.

Przychodziły też następne transporty. We wrześniu 1944 roku przywieziono około 150 więźniów z Powstania Warszawskiego. W grudniu przywieziono około pięćdziesięciu Jugosłowian. Zakwaterowano ich w dużej ciasnocie na blokach II i V. Traktowano ich bezwzględnie i nieludzko. Wtedy też trafił do obozu partyzant Akowski, złapany na Podhalu lekarz, dr Leon Kołakowski.

W styczniu 1945 roku w zasadzie ustał dopływ "Zugangów" z Gross-Rosen. Jeszcze w kwietniu 1945 roku obóz przyjął na swój stan kilkudziesięciuosobową grupę więźniów z jakiegoś ewakuowanego obozu, wśród których było kilku Żydów, obywateli włoskich.

W ostatnich dniach kwietnia 1945 roku przyjęto kilkuset więźniów z jakiegoś również ewakuowanego obozu. Grupa ta, podobno z powodu zachorowań na tyfus, została zakwaterowana w niewykończonych jeszcze blokach rozbudowywanego obozu. Faktycznie ani formalnie grupa ta nie została wcielona do obozu, zachowując odrębność i samodzielność administracyjną i SS-mańską eskortę. Jedynie korzystała ze wspólnej kuchni.

Niezależnie od "Zugangów" były mniej lub bardziej intensywne odpływy więźniów, odprawianych przede wszystkim do Gross-Rosen na wezwanie Politische Abteilung. Nie ma do dnia dzisiejszego konkretnych wieści, jakie były losy tych więźniów. Domyślać się jedynie można, że wezwania dotyczyły skazanych na karę śmierci. We wrześniu i październiku 1944 roku wywieziono z Landeshut do Gross-Rosen kilkuosobową grupę Niemców funkcyjnych. Mówiono wówczas w obozie, że zostali oni wcieleni do SS i wysłani na front. Mniej więcej w tym czasie został też wezwany do Gross-Rosen młodociany Niemiec Reinhold Katscher. Był on oskarżony o szpiegostwo na rzecz ZSRR.

W listopadzie 1944 roku w obozie dokonano aresztowań grupy osób podejrzanych o współudział w ucieczce - a przynajmniej w przygotowaniach do niej - zorganizowanej przez Jerzego Wereszczyńskiego. Wszystkich aresztowanych, wśród nich J. Zulaufa, Bauma, Zakrzewskiego, J. Kisiela, osadzono w karnej kompanii w Gross-Rosen u słynnego Kapo Vogla.

W końcu lipca 1944 roku w świeżo zorganizowanym "Revierze" zdarzył się przypadek śmierci więźnia o nazwisku Grabowski z Sokółki. Zmarł na zapalenie opon mózgowych. Później wypadki śmierci były częstsze, a więc nie budziły żadnej sensacji. Przyczyny śmierci były różne. Najczęściej śmierć powodowało ogólne wycieńczenie organizmu, obrażenia na skutek pobicia itp.

We wrześniu 1944 roku po kilkakrotnym pobiciu zmarł Jan Kawa, z zawodu kowal z okolic Tarnowa. Od lutego 1945 roku śmiertelność znacznie się wzmogła. Jej przyczynami było najczęściej wygłodzenie i biegunka głodowa.

W kwietniu 1945 roku na "Revierze" zamordowano więźnia o nazwisku Patyk. Zmarł również na zapalenie płuc Tadeusz Pietrzak z Warszawy. Zmarł także radziecki partyzant z Polecia z powodu biegunki głodowej.

W lutym 1945 roku zamordowano w bestialski sposób w karnej kompanii około 100 więźniów.

Ogółem zmarło w Landeshut w obozie od lipca 1944 roku do 9 maja 1945 roku około 300 więźniów. Taką samą ilość w przybliżeniu, odesłano do Gross-Rosen. Zamordowano również około 150 osób różnych narodowości. W grudniu 1944 roku zamordowano na II bloku kilku więźniów jugosłowiańskich. Bito ich i polewano lodowatą wodą przy otwartych oknach, aż do skonania.

Do lutego 1945 roku nagie zwłoki więźniów z numerem wypisanym chemicznym ołówkiem na piersiach odsyłano do krematorium w Gross-Rosen. Później zaś zwłoki chowano w zbiorowej mogile na miejscowym cmentarzu w Landeshut.

Pozytywnie na ogół można oceniać współżycie międzyludzkie w obozie. W środowiskach więźniarskich nie rzadkie były przyjaźnie między więźniami różnych narodowości.

Ogólnie liczba więźniów w Landeshut w lutym 1945 roku wynosiła około 1 600 osób. Wynika to z następujących wyliczeń wg komand roboczych:

1. Lagerkomando	około	40	więźniów
2. Revier	"	60	"
3. Schonung	"	50	"
4. Werk I - zmiana dzienna	"	400	"
5. Werk I - zmiana nocna	"	300	"
6. Werk II	"	350	"
7. Werk III	"	300	"
8. Baukollone	"	100	"
9. Budowa schronów p-lotn.	"	30	"
10. Kucharze	"	50	"

Razem około 1.680 więźniów

Wśród więźniów funkcyjnych można wyróżnić dwie grupy: działających zdecydowanie przeciwko społeczności więźniów i działających w miarę możliwości na korzyść więźniów.

Do największych zbrodniarzy zaliczyć należy przede wszystkim Lagerältestera Richarda Petera. W Gross-Rosen był on blokowym VI bloku młodocianych. Do Landeshut przyjechał pierwszym transportem 17 lipca 1944 roku. Swoje katowskie obowiązki pełnił z nadzwyczajnym upodobaniem, Zamordował własnoręcznie co najmniej kilkunastu ludzi.

Blokowym I był początkowo Stanisław Kowalski vel Robaczkowski. Był oficjalnie zastępcą Petera, ale faktycznie od lutego do kwietnia 1945 roku pełnił tylko obowiązki magazyniera. Postać ta jest postacią kontrowersyjną. Pobici przez niego, a były takie przypadki, zwłaszcza w pierwszych początkach istnienia obozu - spowodowali po wojnie jego proces. Piszącemu te słowa swoją interwencją uratował życie. Innym podobno również wiele pomagał.

Blokowym II był Tomasz Pilujski. Również jest on postacią kontrowersyjną. Były przypadki pobicia przez niego więźniów, czasem dotkliwego.

Blokowym III był początkowo przez krótki okres czasu Juliusz Zulauf, wkrótce zdjęty za jakieś niedopatrzanie i pobity przez Petera. Zamieszany w ucieczkę Wereszczyńskiego został wysłany do karnej kompanii w Gross-Rosen w listopadzie 1944 roku. Jego następcą był Zygmunt Proksa. Nie można go ocenić pozytywnie.

Blokowy IV Marian Kośmida - piekarz - skazany po wojnie wyrokiem sądu.

Blokowy V - Adam, Czech z Brna, krwawo zapisał się w pamięci

więźniów. Zgrupował on na swoim bloku Czechów, Ukraińców, powierzając im wszystkie funkcje. Adam bił bez litości, aż do omdlenia. Znany był z tego, że mieszkańców bloku przez kilka nieraz godzin przetrzymywał na powietrzu, nie pozwalając wejść do wnętrza. Był on także ochotniczym katem; wykonał wyrok śmierci na Piotrze Garczyńskim, powieszonym publicznie w obozie we wrześniu 1944 roku.

Na Werku I Kapem był początkowo Leon Rybak, wkrótce zdjęty z funkcji. Na jego miejsce wyznaczono Jerzego Wereszczyńskiego, który swoją funkcję pełnił tylko kilka dni. Wykorzystał ją do zorganizowania brawurowej ucieczki po rozbrojeniu gołymi rękami SS-mana w bramie I Werku. Następcą jego przez krótki czas był Erwin Piwowarschik, zniemczony Ślązak, cyniczny zbrodniarz i sadysta. Regel - Niemiec, późniejszy Kapo Werku I, najcyniczniejszy zbrodniarz i kat, krwawo zapisał się w pamięci, zwłaszcza przy wyniszczaniu karnej kompanii w lutym 1945 roku, mordując własnoręcznie kilkanaście osób. Hilfskapo Teodor Szulc z Supraśla, jeden z najzagorzałszych, krwawych zauszników Regla, był cynicznym zbrodniarzem, katuszącym ludzi bez zmruczenia oka. W karnej kompanii w lutym 1945 roku zabił kilku ludzi.

Na Werku II funkcje Kapo pełnił Dicke - niemiecki kryminalista, cyniczny zbrodniarz i Hilfskapo Sankowski, który także bił ludzi bez litości. Podobno został zastrzelony pod III blokiem już po wyzwoleniu w maju 1945 roku.

Na Werku III funkcje Kapo pełnił Jura - podobno najprzyswoitszy człowiek pod słońcem. Legerkapo był Wojciechowski z Poznania - także dusza człowiek.

W Baukolonne był Kapo narodowości chorwackiej, bardzo przyswoity. Na Hofkollone I Werku był Kapo Stefan Bigos - volksdeutsch warszawski - mierny drań. Kapo Biskupski miał przydział nieznany. Jako mieszkaniec III bloku znany z zachowania cham i brutal. Kapem I Werku był także Henryk Iwanowski, cyniczny zbir, skazany po wojnie na śmierć wyrokiem sądu w Jeleniej Górze i stracony w 1947 roku. Zappek zaliczał się także do zbrodniarzy. On to zamordował w karnej kompanii na III Werku największą ilość ludzi. Küchen-schreiber - Niemiec - spowodował na III Werku śmierć Albina Brzostowskiego, białostockiego księgarza, wskazując go Zappkowi jako ofiarę. Stubendienst Revieru Tadeusz Ossowski był zbirem bijącym chorych więźniów do upadłego - poszukiwany po wojnie jako zbrodniarz wojenny.

Ucieczki z obozu

Jednej z pierwszych ucieczek z obozu Landeshut dokonał w końcu lipca lub w początkach sierpnia 1944 roku więzień narodowości polskiej, Piotr Garczyński. Miało to miejsce w nocy na I Werku w czasie ogłoszonego alarmu lotniczego. Prawdopodobnie wykorzystując zamieszanie, wspinał się on po niezbyt grubym metalowym wsporniku na dach, skąd następnie po rynnie dosięgnął ziemi. Pozostali więźniowie byli represjonowani, nie dano im spać, ani jeść do południa dnia następnego. Złapany Piotr Garczyński został w obozie publicznie powieszony z wyroku Sondergerichtu we wrześniu 1944 roku. Wyrok wykonał blokowy IV Adam - Czech z Brna. Okoliczności egzekucji były dramatyczne, gdyż powieszony skazaniec zerwał się ze stryczka. Nie uratowało mu to życia. Przed śmiercią zdołał krzyknąć: "Niech żyje Polska".

Drugim uciekinierem został w podobnych warunkach więzień narodowości ukraińskiej imieniem Konstanty, pochodzący z Kamieńca Podolskiego, mówiący poprawnie po polsku. Charakteryzowało go to,

ze zesłany na przymusowe roboty, sześciokrotnie podejmował próby ucieczki. Za ostatnią z nich wysłany został do obozu koncentracyjnego. Mimo to podjął następną próbę. Losy jego są nieznane.

Do najbardziej głośnych należała ucieczka zorganizowana późną jesienią 1944 roku przez Jerzego Wereszczyńskiego, pełniącego przez kilka dni obowiązki Kapo na Werku I. Ucieczka ta, aczkolwiek przedtem omawiana i przygotowywana w kręgu zaufanych, nastąpiła nagle, a to z powodu zdrady jednego z wtajemniczonych, który powiadomił o niej strażnika SS-mańskiego. Na widok SS-mana wzywającego przez telefon posiłki, Jerzy Wereszczyński postanowił uciekać natychmiast. O swym zamiarze zdołał powiadomić jedynie Henryka Smoczyńskiego i więźnia imieniem Janek. W ich towarzystwie podszedł do strażnika pilnującego bramy z żądaniem jej otwarcia dla rzekomej potrzeby wyrzucenia wiórów spod tokarni. Była to czynność powtarzana bardzo często. Niczego nie spodziewający się więc SS-man został przez Wereszczyńskiego znokautowany uderzeniem pięści w podbródek. W chwili odbierania pistoletu maszynowego leżącemu na ziemi SS-manowi, Wereszczyński został niespodziewanie z tyłu zaatakowany przez niemieckiego majstra. W krytycznej sytuacji majstra ogłuszył uderzeniem stalowego pierścienia tokarskiego w głowę przypadkowy świadek zdarzenia, więzień o nazwisku lub przezwisku Krawiec, podobno żołnierz kieleckiego Kedywu. Czwórka ta zbiegła w ciemną i deszczową noc. Po ucieczce tej były represje. Juliusza Zulaufa, Zakrzewskiego, Chrubasika, Bauma, Józefa Kisiela po kilkudniowym śledztwie skierowano do karnej kompanii w Gross-Rosen.

Po kilku dniach Niemcy przynieśli do obozu zabitego Krawca, a później chwalili się złapaniem wszystkich uczestników ucieczki, nie wyłączając Wereszczyńskiego.

Prawdopodobnie z całej tej grupki jedynie Wereszczyński dotarł szczęśliwie do domu w Krakowie, chociaż w czasie ucieczki był ranny i złapany, ponownie zbiegł z aresztu w Braunau /obecnie Broumov w ČSR/ tuż przed wykonaniem wyroku śmierci na nim.

Do znanych i zapamiętanych ucieczek z obozu zaliczyć należy ucieczkę Polaka, obywatela francuskiego, pełniącego w obozie funkcję kucharza w kuchni usytuowanej początkowo tuż za drutami obozu w parterowym drewnianym baraku. Miało to miejsce w bardzo wczesnych godzinach rannych, między godziną trzecią i piątą we wrześniu 1944 r. Losy tego uciekiniera są nieznane.

W grudniu 1944 roku nastąpiła ucieczka pięciu więźniów, Rosjan, zatrudnionych na II Werku. Ucieczka ta zorganizowana bardzo prymitywnie, nie mogła się udać. Uciekinierów wyłapano lub zastrzelono. Po tej ucieczce więźniowie wracając wieczorem z pracy, na komendę "anhacken" mieli obowiązek przytrzymywania się pod łokcie, a to w celu zapobieżenia ucieczkom.

Późną jesienią 1944 roku zbiegł więzień pracujący w Baukolonne przy budowie baraków przeznaczonych dla więźniów. Uczynił to w biały dzień, wykorzystując posiadanie cywilnego ubrania pomalowanego czerwoną farbą, którą poprzedniego dnia niby w żartach wykruszył oraz dzięki zatrudnieniu na placu budowy wśród cywilnych robotników. Uciekinier prawdopodobnie wyszedł normalnie przez bramę, wykorzystując nieuwagę SS-mana i swoje cywilne ubranie.

W kwietniu 1945 roku na niewiele tygodni przed wyzwoleniem, z obozu uciekło czterech więźniów, którzy nożycami przecięli druty ogrodzenia, wykorzystując zaciemnienie obozu. Dwóch z tej czwórki widziano w Opolu już po wyzwoleniu /jak stwierdził Zdzisław Kuziński/.

Za wszystkie ucieczki byli represjonowani pozostali w obozie koledzy. Represje miały różne formy, na przykład nie dawano jeść.

ani spać ludziom z tej samej kolumny roboczej, bito ich i szykanowano. Najcięższe represje spotkały więźniów wtajemniczonych w plany ucieczki Jerzego Wereszczyńskiego, bowiem skierowano ich do karnej kompanii w Gross-Rosen. Wydał ich w ręce SS kapo - Polak z Francji o nazwisku Chrubasik, który mimo zdrady sam także został aresztowany. Spiskowcy mieli zamiar rozbroić załogę SS i rozpuścić wszystkich więźniów z obozu.

Warunki dla uciekających z obozu w Landeshut należy uznać za niezmiernie niekorzystne, niesprzyjające, a to z powodu usytuowania obozu bardzo daleko od granic i skupisk polskich. Nie można było liczyć na żadną pomoc ze strony Niemców, którzy mieli obowiązek zastrzelić każdego napotkanego uciekiniera z obozu.

Załoga SS

Załogę SS stanowiła grupa około 100 osób, z których najwyższy stopień podoficerski miał starszy wiekiem Hauptscharführer /st. sierżant/. Wiek załogi bardzo zróżnicowany: od lat kilkunastu /najmłodszy miał 17-18 lat/ do około 60.

Początkowo funkcję Lagerführera pełnił Hauptscharführer Gross. Był to wyniosły typ o sadystycznych skłonnościach. Nierzadko bił i kopał więźniów. Był przypadek zastrzelenia przez niego więźnia na placu apelowym, prawdopodobnie bez przyczyny. Późną jesienią Gross został odkomenderowany do Gross-Rosen. Na jego miejsce na stanowisko Lagerführera został przysłany Unterscharführer Herbert Hanke. Ten był znany z tego, że upijał się często i w takim stanie przychodził na apele. Bił przy tym więźniów a potem, wróciwszy na swój blok, grywał na akordeonie.

Uzbrojenie załogi SS stanowiły krótkie karabinki, prawdopodobnie produkcji włoskiej, bądź też pistolety maszynowe z wyglądu podobne do radzieckich pepesz, prawdopodobnie marki włoskiej - Baretta. Uzbrojenie strażników, pełniących służbę na strażniczych wieżach, stanowiły karabiny maszynowe typu L.M.G. Karabiny takie posiadali również strażnicy na wyżkach usytuowanych na dachach fabryk.

Landeshucka załoga dysponowała ośmioma psami, wykorzystywanymi do pościgów za zbiegami, a także w czasie masakry karnej kompanii w lutym 1945 roku i do eskorty więźniów.

Zachowanie załogi SS można określić w sposób zróżnicowany. Byli wśród nich ludzie nienawidzący więźniów, sadyści o psychopatycznych skłonnościach. Do tej grupy należy zaliczyć: Hauptscharführera Grossa p.o. Lagerführera, Unterscharführera Herberta Hanke - Lagerführera Oberscharführera Metznera, Hoffmana i innych. Do psychopatycznych sadystów zaliczyć można również około 17-letniego szczeniaka, który kolbą karabinu bił i kłuł bagnetem więźniów bez litości. Do tej samej grupy zaliczyć można także nadwoźańskiego Volksdeutscha, który swoją nienawiść okazywał specjalnie wobec Rosjan.

Trzeba tu gwoili ścisłości stwierdzić, że wśród SS-manów niektórzy starsi wiekiem odnosili się obojętnie do losu więźniów, a czasami nawet okazując im współczucie.

Właściwe oblicze sadyści z SS pokazali dopiero więźniom karnej kompanii w lutym 1945 roku. Wielu z nich aktywnie współdziałało z Kapo, strzelając do więźniów. Zamordowano przy ich współudziale około 100 więźniów, przy czym około 30 zastrzeliła załoga SS.

Kilkunastu więźniów zostało również przez SS-manów zastrzelonych w czasie pierwszego dnia kopania rowów przeciwczołgowych wokół Landeshut. W wyjątkowo ciężkich warunkach atmosferycznych, wy-

wołanych zamiecią śnieżną, osłabli w marszu więźniowie zostali przez SS-manów zastrzeleni. Między innymi został zastrzelony jeden z braci o nazwisku Rusiniak.

W pierwszej połowie lutego 1945 roku około południa ogłoszono dla całego miasta alarm przeciwlotniczy. Więźniowie zobaczyli wówczas gromady mieszkańców Landeshut z najpotrzebniejszym podręcznym dobytkiem, zmierzające do schronów przeciwlotniczych, wybudowanych w stoku góry w odległości 200 metrów od obozowych drutów. Alarm ten dotyczył również wszystkich więźniów, którym polecono przerwać prace i wyjść z fabryk w zorganizowanych grupach. Wszystkich zapędzono do lochu usytuowanego obok schronów dla cywilnych mieszkańców. Loch ten, rozbudowywany ciągle przez więźniów, był w stanie całkowitego prowizorium. Wykute w skale ściany niczym nie były zabezpieczone przed zawaleniem, z rzadka i bardzo słabo oświetlone, wilgotne. Jedno, co więźniów po wpędzeniu do tego lochu zastanowiło, to potężne stalowe wrota, które natychmiast zamknięto za nimi. Już po kilku minutach w lochu zrobiło się duszno na skutek czego było kilka przypadków omdleń. Wielkim szczęściem dla więźniów było odwołanie alarmu. Więźniowie mówili, że ten alarm lotniczy był niejako przymiarką do możliwości zgładzenia wszystkich więźniów w tym właśnie lochu.

Wyzwolenie

Na dzień 8 maja 1945 roku Niemcy zarządzili ewakuację z obozu wszystkich więźniów funkcyjnych, a więc największych zbrodniarzy. Wychodzili oni z obozu rano pod niewielką eskortą SS, wszyscy dobrze odkarmieni i odziani w najlepszą odzież z obozowego magazynu.

Nowym Lagerältesterem został były SS-man z załogi w Gross-Rosen, złapany przed kilku dniami w cywilnym ubraniu. Zdumiewające, że go nie powiesili za dezercję. Jako starszy obozu, w ostatnim dniu wojny, zachował się nadzwyczajnie. Do więźniów mówił per "pan", co w warunkach obozowych było niesłychane. Funkcję swoją pełnił jednak tylko przez kilka godzin, gdyż SS-mańskie władze zarządziły tego dnia wieczorem drugi rzut ewakuacyjny. Wzięli w nim udział bez wyjątku wszyscy pozostali w obozie Niemcy oraz ochotnicy więźniowie. Ten rzut ewakuacyjny wyszedł z obozu późnym wieczorem. W ten sposób obóz opuścili najwięksi zbrodniarze i kaci, którym więźniarska bracia miała by wiele do "powiedzenia" w chwili wyzwolenia.

Dzień 9 maja 1945 roku rozpoczął się niecodziennie i jakoś dziwnie. O ustalonej porze nie odezwał się zupełnie obozowy dzwon na pobudkę. Natomiast po pewnym czasie targany niecierpliwą i rozgorączkowaną dłonią zaczął bić jak szalony. Dopiero wtedy spostrzeżliśmy, że przy drutach nie ma już SS-mańskiej straży. Z minuty na minutę coraz bardziej gęstniał na placu apelowym tłum więźniów szalejących wprost z radości. Wszyscy ze łzami w oczach całowali się i ściskali wzajemnie - to nadeszła wreszcie wymarzona WOLNOŚĆ. Niektórzy wymknęli się za bramę natychmiast, tak jak stali, nie dbając o pozostawione na blokach osobiste rzeczy.

W zamkniętych pomieszczeniach V Bloku pozostało w obozie kilkadziesiąt upiornych wprost z wyglądu trupów więźniarskich, pozostawionych przez załogę SS. Nawet najodporniejsi, przyzwyczajeni do obozowych okropności nie mogli patrzeć na ich zwłoki. Pochowano ich następnego dnia przy placu apelowym.

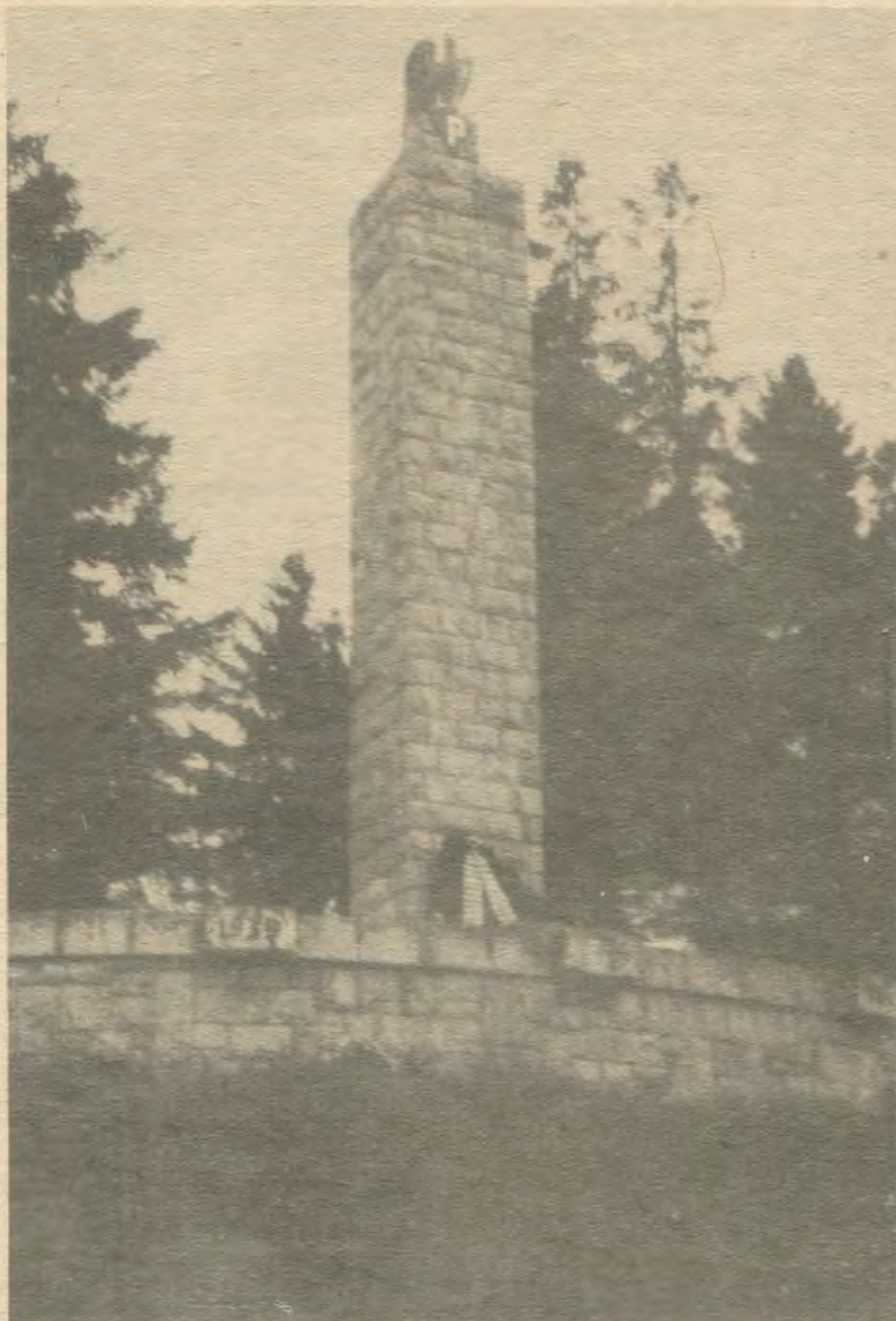
Część byłych więźniów landeshuckiego obozu, zwłaszcza tych najsłabszych i chorych, jeszcze czas jakiś po wyzwoleniu zamieszkiwała bloki obozowe. Dopiero po kilku dniach zostali oni przewiezieni do szpitala. Wtedy to opustoszały teren obozu przejęły władze cywilne.

Warszawa, grudzień 1982

P.S. Pragnę podziękować tym wszystkim Kolegom, którzy dopomogli mi w uściśleniu niektórych zdarzeń i faktów zawartych w opracowaniu.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.14

Zdzisław Rał



Obelisk na cmentarzu w Kamiennej Górze, wybudowany dla uczczenia ofiar obozu "Landeshut"

Nr arch. Gross-Rosen 3.2.2.2

5.1. "Strafkopagnie" /Karna Kompania/

W połowie lutego 1945 r. nasze komando w Landeshut, stanowiące filię obozu w Gross-Rosen, liczące około 1600 więźniów różnych narodowości, przestaje nagle chodzić do pracy. Zatrudniające dotąd więźniów zakłady F-my Kramsta u.Methner AG, przeniesione na Dolny Śląsk, ze Schweinfurthu, ulegają likwidacji. Wszelkie urządzenia i maszyny tej fabryki łożysk są wywożone na zachód. I nas także szykują do ewakuacji. Dokąd? tego nikt nie wie.

14 lutego 1945 r. wieczorem ewakuacja jest już postanowiona. Zastępca Lagerältestera Stanisław Kowalski agituje jednak, aby ci którzy nie czują się na siłach pozostali w obozie.

Byłem już dostatecznie "zmuzułmaniały", aby nie czuć się na siłach do pokonywania pieszo bliżej nieokreślonych odległości. Poza tym dochodziły nas wieści o tym, że SS-mani mordują w czasie drogi więźniów osłabłych w marszu. Zdecydowałem się więc pozostać w obozie wraz z grupą około 350 osób. Było to także ryzykiem, bo można się było spodziewać - znając niemieckie metody - że nas postarają się wykończyć. Mam jednak do wyboru: ginąć gdzieś na drodze, czy na miejscu. Wybrałem drugą możliwość. Pozostawiało to nikłą iskierkę nadziei, że może jednak nie zdążą...

Następnego dnia rano, wydano wszystkim po całym bochenku chleba. Takiej ilości prowiantu na raz nie miałem już od dawna. Nie trwało to długo, kiedy z bochenka pozostały resztki. Zawsze to było pewniejsze, co w żołądku.

W dniu 15 lutego 1945 r. około godz. 8-ej wychodzą z obozu wszyscy zdolni do marszu. Nas w dalszym ciągu pilnuje 3-4 SS-manów. Mimo to szans na ucieczkę raczej nie ma, bo okalające obóz druty pozostają pod napięciem prądu.

Demokratycznie wybieramy nowe władze więźniarskie, co w warunkach obozowych jest niesłychane. Jest więc nowy Lagerältester, kapo na kuchni, pisarz obozowy, pisarz na kuchi itp. Jest przy tym trochę bałaganu, korzystamy więc z niego, aby trochę popróżnować. W gronie kilku kolegów dochodzimy do wniosku, że Armia Radziecka musi być gdzieś już bardzo blisko. Zapadło więc postanowienie przygotowania na powitanie zbliżającej się - w naszym mniemaniu - wolności kilku białoczerwonych i czerwonych chorągiewek. Udało nam się zdobyć trochę inleku o czerwonym zabarwieniu i trochę białego płótna, z którego krawcy mieli przygotować, co trzeba.

Nasz samorząd funkcjonuje jednak tylko przez kilkanaście godzin, gdyż cała grupa ewakuowana rano została zawrócona do obozu po przejściu około 20-tu kilometrów.

Teraz dopiero zaczęła się "zabawa" z tymi, którzy na ten "spacer" nie pposzli. Funkcyjni Niemcy z Richardem Peterem na czele darli się na nas z wściekłością: das sind die Erwartende die Bolschewisten /to są ci, którzy oczekiwali na bolszewików/. Z obozowej ewidencji wyłowiono wszystkie numery więźniów, którzy nie zgłosili się do ewakuacji. Jeszcze tego samego wieczora zabito kilku więźniów z naszej grupy, która natychmiast otrzymała miano i rygor karnej kompanii.

Przez cały następny dzień staliśmy na deszczu w równym pięcioszeregu. Pilnowali nas na zmianę funkcyjni i nie próżnowali przy

tym. Bili nas niemal wszystkich bez wyjątku przy użyciu grubych kijów. Kilku więźniów zostało zatłuczonych na śmierć.

Około godziny 12-3j na dyżur przyszedł kapo Regel - Niemiec, kryminalista z zielonym winklem. Razem z nim przyszedł jego najwierniejszy zauszniak Szulc, Polak pochodzący z Supraśla. Obydwaj są znani ze swoich zbrodniczych poczyną i sadystycznych skłonności.

Po pewnym okresie swej "pracy" podszedł do mnie Regel i ze zjadliwym uśmiechem i z trudem hamując wściekłość w głosie zapytał po niemiecku:

- My się znamy?

- Tak.

- Ty pracowałeś na Werku I przy tych dużych pittlerowskich obrabiarkach?

- Tak.

- I także oczekiwałeś na Bolszewików?

Nawet nie zdążyłem odpowiedzieć, kiedy huknął mnie w głowę trzonkiem od łopaty, poprawił po raz drugi, przy czym trzonek pękł mi w rękę. Odgłos trzaskającego kija z ledwością dotarł do mojej świadomości, bowiem już po pierwszym uderzeniu, zamortyzowanym zresztą nieco włożoną skrycie pod czapkę chusteczką do nosa, świat zawirował mi przed oczami. Po drugim zaś zwałem się w błoto, tracąc przytomność.

Ocknąłem się po jakimś czasie. Stojący po bokach koledzy podtrzymywali mnie pod ramiona. Leżeć na ziemi mieli prawo tylko zabici, ja zaś jeszcze żyłem, więc musiałem stać na własnych nogach.

Tego dnia nie dostaliśmy absolutnie nic do zjedzenia ani picia. Pomalowano nam tylko olejną farbą czerwone koła na piersiach i plecach naszym ubrań oraz na spodniach i czapkach, wygolono brzytwą paski przez głowę, na krzyż. Już po wieczornym apelu zerwano z łóżek około 70-osobową grupę do nocnej pracy. Zobaczyliśmy ich rano, prowadzonych przez Regla i Szulca. Około 10-ciu zabitych nieśli właśnie koledzy na ramionach lub wieźli na wózku.

Tego dnia podzielono nas wszystkich na kolumny robocze. Dostałem przydział do 50-osobowej grupy, wyznaczonej do pracy na tzw. III Werk, pod komendą Zappka. Przed samym wyjściem z bramy obozu, do stojącego w naszym szeregu, starszego wiekiem więźnia Albina Brzostowskiego, księgarza z Białegostoku przyskoczył pisarz kuchni, Niemiec, bijąc go pięścią w twarz i wskazując go Zappkowi, aby ten zapamiętał jego postać. Brzostowski "zasłużył" sobie na nienawiść Niemca tylko tym, że przez kilkanaście godzin ewakuacji pozwolił sobie pełnić na kuchni jego obowiązki pisarskie.

Kolumna nasza zatrzymuje się u wrót olbrzymiej hali fabrycznej III Werku. Zappek niemal natychmiast wyciąga z szeregu niefortunika wskazanego uprzednio przez Niemca, uderzeniami pięści zwała go z nóg, poczem kilkakrotnym kopnięciem drewnianym butem w czaszkę pozbawia życia.

Dostajemy przydział pracy. Zadaniem naszym jest przenoszenie stalowych podwozi od fabrycznych wózków szynowych, o wadze po ca 200 kg każde na odległość około 400 m. Wolno nieść najwyżej 4 więźniom jedno podwozie i tylko wysoko na ramionach. Wtedy rozpoczęła się "zabawa" z nami, gra o najwyższą stawkę: życie lub śmierć!

Zewsząd słychać było potworne wrzaski funkcyjnych, SS-manów, i bitych, łomot kijów i tupot drewniaków. Pot zalewa oczy, a serce bije takim rytmem, że mało z piersi nie wyskoczy. Nie ma co ukrywać, strach przed śmiercią ogarnia również i mnie.

Ciężar niesionego podwozia wprost przygniata do ziemi, a zimne żelazo wyślizguje się z osłabłych rąk. Nie mamy dość siły do

dźwigania tak wielkich ciężarów. Próbuje więc toczyć podwozia kołami po rozmokłej ziemi. Hoch! hoch! wrzeszczą na taki widok SS-mani i funkcyjni i biją kijami w zgięte od wysiłku karki. Staramy się więc ponownie dźwignąć na barki ten ciężar ponad siły.



Landeshut Werk III widok ogólny
miejsce kaźni karnej kompanii
Nr arch. Gross-Rosen 3.2.1.5

Falisty teren utrudnia widoczność. Nie ma czasu na obserwację, bo poruszać się musimy tylko biegiem. Od czasu do czasu słychać pojedynczy wystrzał karabinowy. W pewnym momencie widzę jak Regel skinięciem ręki przywołuje do siebie mojego przyjaciela Wołodię, który podchodzi z wolna.

Regel pyta go krótko: nie chcesz, czy nie możesz pracować? Na jego odpowiedź, że nie może, Regel każe mu biec przed siebie. Widzę jak stojący przy Reglu SS-man repetuje karabin i oddaje do biegnącego strzał w tył głowy. Wołodia wali się na ziemię. Już nie zobaczy swojej rodzinnej Wołogdy.

Byłem już u kresu sił, gdy kazano mnie i trójce innych kolegów rozpocząć załadunek rzuconych na stertę podwozi wózków na wagon kolejowy, stojący na bocznicy, biegnącej poniżej, w wykopie. Przy tej czynności nasza czwórka mogła nieco odetchnąć.

Około godziny 13-ej przywieziono nam zupę z jakiejś zieleniny suszonej, tak gorzką i wstrętną, że mimo wygłodzenia nikt nie był w stanie jej zjeść.

Potem kazano nam zebrać zabitych kolegów i załadować ich ciała na platformę odwożącą do obozu kotły po "obiedzie". Przez te kilka godzin 18 więźniów zostało zabitych. Razem z zabitymi odeszło do obozu pod eskortą 12 więźniów.

Pozostało nas około 20 na tym polu śmierci. Kazano nam teraz rozładować wagon, który do południa z takim trudnem załadowaliśmy podwoziami od wózków. Podczas rozładunku do młodego chłopca - partyzanta, schwytanego tuż przed Nowym Rokiem na Podhalu, podchodzi Zappeck. Początkowo drwiną usiłował go sprowokować do jakiegoś de-

sperackiego odruchu. To jest ten - powiada z kpiącym uśmiechem - który się tak ciągle modli. Widząc, że jego drwiny nie odnoszą żadnego skutku, uderza chłopca kilkakrotnie w twarz, poczem każe mu biec przed siebie. Kiedy szczuty w dodatku psem chłopiec biegnie, rudy SS-man strzela z karabinu w tył jego głowy.

Zabitego przenieśliśmy na własnych ramionach do obozu akurat w czasie wieczornego apelu. Sprawdzającemu stan więźniów Rapportführerowi, Zappek melduje służbiście: dwudziestu więźniów z pracy! Ten dwudziesty leży obok, zamordowany. Lecz ilość więźniów musi się zgadzać - Ordnung muss sein! /porządek musi być/.

Podobnie, jak z naszą kolumną roboczą, postępowano w tym dniu z pozostałymi "karniakami". Ogółem w ciągu 2 dni zginęło około setki naszych kolegów.

Dalszy masowy mord "karnej kompanii" został wstrzymany z powodu interwencji władz wojskowych i protestów miejscowej ludności, na oczach której mordowano więźniów. Wreszcie front był już dość blisko.

Dziś myślę, że najbardziej sprzyjającą okolicznością, która umożliwiła przetrwanie pozostałym przy życiu "karniakom" było to, że nie skoszarowano nas razem na oddzielnym bloku. Wprawdzie namalowano nas czerwoną farbą, lecz utonęliśmy w masie innych więźniów. A może chodziło i o to, że wcielenie nas do karnej kompanii zostało dokonane nieformalnie, bez udziału "politische Abteilung", który w owym czasie już nie istniał, bo Gross-Rosen było w rękach radzieckich. Gdyby nie te okoliczności z 350 osobowej grupy "karniaków" pozostałoby po tygodniu przy życiu nie więcej niż 5-6 osób, tak jak nam to obiecywano.

Oczywiście represje w stosunku do "karniaków" nie skończyły się, przybrały inną formę, jak stałe szykany, najgorsza praca itp.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.5.

Warszawa, marzec 1973 r.

G ł ó d

Jest sprawą powszechnie znaną, że celem szybszego wyniszczenia więźniów w obozach, hitlerowcy dawali im znacznie mniejsze racje żywnościowe, niż to wynika z minimalnych potrzeb dla utrzymania człowieka przy życiu. Postępujące w miarę upływu czasu wycieńczenie organizmu na skutek niedożywienia powodowało w obozach zwiększoną śmiertelność.

Nie wszyscy jednak cierpieli głód. Nie brakowało jedzenia wszystkim prominentom pełniącym różne obozowe funkcje. Poza tym część więźniów, z mniejszą lub większą regularnością, otrzymywała paczki żywnościowe z domu, niektórzy nawet w takich ilościach, które przekraczały ich potrzeby. Kupowali więc sobie za nadmiar żywności albo rozmaite usługi gorzej sytuowanych kolegów, takie jak np. pranie, sprzątanie po sobie itp. albo też lepszą odzież lub jakieś drobiazgi.

W najgorszej sytuacji byli pod tym względem więźniowie Rosjanie, Jugosłowianie, Cyganie, Grecy, Żydzi, którzy nie korzystali z żadnej pomocy aprowizacyjnej z zewnątrz. Od lipca 1944 r. włącznie, pomocy takiej byli również pozbawieni wszyscy Polacy, posiadający rodziny na wschód od Wisły, gdyż ze względów oczywistych nie było żadnej łączności z terenami wyzwolonymi spod okupacji.

Ja również zaliczałem się do tej ostatniej grupy. W sierpniu 1944 r. powołano mnie w Landesgut do utworzonej w tym czasie tzw. sztuby dla młodocianych, usytuowanej na piętrze bloku obozowej kuchni. Było nas około 60-ciu w wieku od 14-tu do 18-tu lat. Teoretycznie traktowano nas identycznie, jak pozostałych. Jednak mieszkający z nami przez ścianę kucharze dbali o nas nieco, obdarowując czasami swoimi porcjami zupy, które sami uważali za niejadalne. Sytuacja taka trwała jednak krótko, około 2 miesięcy, poczem w październiku 1944 r. "rozparcelowano" nas na inne bloki.

Więźniowie chwyтали się różnych sposobów, aby zdobyć dodatkowe ilości środków żywnościowych, przede wszystkim wykonywali w fabryce w czasie pracy tzw. "fuchy". Były nimi igły do szycia, których ciągle było brak, ozdobne numery obozowe na rękę w kształcie zegarka, znajdujące zawsze nabywców wśród prominentów, jakieś statuetki lub inne drobiazgi. Inni, sprytniejsi, handlowali w obozie czym się tylko dało, a walutę obiegową stanowiły papierosy, za które nabyć można było niemal wszystko, co w takich warunkach było potrzebne do życia. Najgorszą sytuację mieli palący, a zwłaszcza ci, którzy za papierosy oddawali przydziałowe porcje chleba. Przyspieszało to wyniszczenie organizmu, po czym następowała zwykła więziarska śmierć z wycieńczenia.

Pamiętam Jana Kawę, przywiezionego w sierpniu 1944 r. do naszego Komanda w transporcie z więzienia w Tarnowie. Był kowalem z zawodu, zaś z postury olbrzymim zwalistym chłopem w wieku około 27 lat. Należał jednak do tych, którzy od samego początku pobytu w obozie nie mogli opanować głodu. Chwytał się więc najprymitywniejszych sposobów, aby po raz wtóry stanąć w kolejce po zupę, dopchnąć się na siłę po repetę. Parokrotnie przyłapano go na tym, za co dostawał potężne bicie, na skutek czego zmarł już we wrześniu 1944 r.

Zdobyc dodatkowo jakąś porcję strawy było niezmiernie trudno, czasem się to jednak udawało. Mniej więcej w listopadzie 44 r. nasza 20 osobowa "Hofkollona" dostała polecenie rozładowania wagonu kolejowego na fabrycznej bocznicy. Wagon ten był do połowy wypełniony workami cementu, w połowie zaś beczkami z kiszonymi ogórkami, przeznaczonymi do ss-mańskiej kuchni. Skręcający trzewia głód, spotęgowany do tego drażniącym nozdrza zapachem ogórków był nie do wytrzymania. Opanowała nas obsesyjna myśl, żeby się do tych ogórków dostać, ale jak? Z Jankiem Z. z Grudziądza nie trzeba było na ten temat gadać, wystarczyło mrugnąć okiem. Spuszczona po pochylni z desek beczka z nagłą "wyślizguje" nam się z rąk, spada kantem na zamrożoną ziemię i rozlatuje się. Dobra nasza! Wszyscy jedliśmy te ogórki, ile tylko kto mógł. Byliśmy tym tak zaafektowani, że nie zwracaliśmy na nic uwagi. Nagle usłyszeliśmy głos głównego dyrektora fabryki, opasłego Niemca ze swastyką w klapie, który darł się do pilnującego nas SS-mana: pass doch auf die verfluchte Schweinehunde! Sie sollen das nicht fressen! Gadaj sobie zdrów, co w żołądku, to nasze. Skacowanemu SS-manowi nie chciało się w tym dniu zbytnio zaprzętać sobie nami głowy, więc w dalszym ciągu nie zwracał uwagi na nasze zajęcie. Beczki pełne i tę rozbitą zanieśliśmy pod szopę. Ale po pewnym czasie zjedliśmy wszystkie zdobyte ogórki i znów jeść się chce. Postanowiliśmy niby to pozbierać spod wagonu resztki rozsypanego cementu, aby się nie zmarnował. Było tego około kilograma, lecz nieśliśmy to na rozpostartej płachcie papieru, a wszystko po to, aby mieć pretekst do wejścia pod szopę, gdzie były ogórki. Cement rzuciliśmy w połowie szopy, przyskoczyliśmy do beczki. Ogórkami napchaliśmy sobie wszystkie kieszenie kurtek.

Tego dnia po raz pierwszy od wielu tygodni byłem najedzony, zjadłem nie mniej niż 3 kg ogórków na raz, bez żadnych ujemnych skutków dla żołądka.

W drugiej połowie lutego 1945 r., po ewakuacji zatrudniającej nas dotąd fabryki łożysk, całe nasze Komando w Landeshut przestało pracować. Co dzień wyznaczano tylko niewielką grupę do grzebania zmarłych, których ilość zaczęła gwałtownie wzrastać. Znikome i tak racje żywnościowe ograniczono jeszcze bardziej. Nasze dzienne menu składało się: rano i wieczorem po 1/2 litra gorzkiej kawy zbożowej, w której jedyną wartość odżywczą stanowiły tzw. fusy, 1/2 litra polewki, zwanej zupą, po otrzymaniu której za nadzwyczajnego szczęśliwca mógł się uważać znalazca listka kapusty lub kawałka brukwi; jeden bochenek chleba dla 8-miu lub czasem 12-tu osób.

Poza tym niemal całkowicie ustał wszelki dopływ paczek żywnościowych z zewnątrz. Powstał więc w obozie głód wprost nie do wytrzymania. Z głodu większość kolegów zaczęła puchnąć. I ja również miałem obrzęk twarzy i najuciążliwsze w tych warunkach - obrzęki stóp. Wielu więźniów ogarnęła gorączka głodowa. W obozie widać było czasami zorganizowane watahy, które nie bacząc na wszelkie zakazy i potworne bicie, rzucali się na pilnowane bacznie śmietniko przy kuchni, aby tam zdobyć jakąś zapomnianą kość lub obierkę z brukwi.

Któregoś dnia w samo południe do bramy obozu wtoczył się z wolna zaprzężony w woły wóz, załadowany po brzegi burakami pastewnymi, które miały być zakopcowane w przeciwległym krańcu obozu. Trudno powiedzieć, kto wtedy dał hasło do ataku. Na taką zdobycz rzuciły się w mgnieniu oka setki wygłodniałych muzułmanów. Nie pomogła zorganizowana z funkcyjnych na prędkę obrona wozu, nie pomogło żadne bicie kijami i łopatami, zgłodniała tłuszcza była silniejsza w swojej masie. Do miejsca przeznaczenia dotarły nędzne resztki buraków, mimo że na trasie przejazdu wozu pozostało kilku zabitych i rannych. Zagrabione buraki spożywano natychmiast, ze skórą i resztkami piasku.

Innego dnia dostałem się do grupy, która miała uprzątnąć opustoszałe hale fabryczne tzw. II Werku. Nikt z nas nie ma ochoty do pracy, wszyscy zaś natychmiast rozbiegli się po halach w poszukiwaniu resztek pożywienia w pustych szafkach niemieckich robotników cywilnych. W którejś z kolejnych szafek udało mi się znaleźć 2 surowe ziemniaki. Tym razem nie mogłem opanować wprost zwierzęcego głodu i zjadłem je natychmiast z łupiną, a smakowały mi tak jak najlepsze pączki. W innym pomieszczeniu znalazłem zeschnięte skórki chleba i zjadłem je natychmiast.

A więc i mnie ogarnęła gorączka głodowa, wprost nieludzki instynkt, coś silniejszego od logiki i wszelkich innych nakazów. Dotąd byłem w obozie zawsze głodny, lecz takiego uczucia jak teraz nie zaznawałem.

Musiałem być wtedy już bardzo "zmuzułmaniały", czego wymownym świadectwem może być fakt, że w dwa tygodnie po wyzwoleniu obozu, po pewnym okresie lepszego odżywienia, przy którym musiał następować pewien przybytek wagi, ważyłem nieco ponad 31 kg, co przy moim wzroście 174 cm było wagą poniżej wszelkich norm. Nic więc dziwnego, że nastąpił u mnie w tym czasie niemal całkowity zanik mięśni. Dlatego to z wielką trudnością pokonywałem takie przeszkody, jak np. schody na I piętro.

Pozostało mi z tego do dziś w psychice to, że nie znoszę wprost widoku psującej się żywności, a zwłaszcza chleba, do którego mam wielki szacunek.

Nie byłem na pewno jedynym, który tak się zachowywał. Przykładem tego był starszy wiekiem więzień, pochodzący z Poznańskiego, nazywany przez nas "Dziadkiem". Przesłano go ze Straflagru w Blachhammer/Blachownia Śl./. Jako człowiek znający język niemiecki miał trochę łatwiej w obozie, a ponadto regularnie otrzymywał paczki żywnościowe, wprowadził skromne bardzo, ale jednak. Paczki te sprawiały, że "Dziadek" nie odczuwał pełni głodu. Nie mógł też zrozumieć innych, którzy z głodu zawsze i wszędzie węszyli za ochłapami czegoś, co nawet w najmniejszej mierze nadawało się do zjedzenia. Wyrzekał też zawsze na widok ludzi szukających pożywienia w obozowym śmietniku. To świństwo - mawiał.

W styczniu 1945 r. "Dziadek" również przestał otrzymywać paczki żywnościowe. Po kilku tygodniach zauważyłem "Dziadka" szperającego właśnie w śmietniku. Na moją uwagę "Dziadek" odpowiedział: teraz naprawdę głodny jestem.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.12

Warszawa, luty 1973 r.

Kopanie rowów przeciwczołgowych

W marcu 1945 r. po kilkutygodniowej bezczynności i "bezrobociu", znaczącym dla nas przede wszystkim wprost niebywały głód, powodujący śmierć wielu kolegów, obóz zaczął ponownie pracować. Siłę roboczą więźniów zakupił Wehrmacht dla budowy umocnień obronnych wokół Landeshut, przede wszystkim budowy w ziemi stanowisk ogniowych broni przeciwpancernej oraz rowów przeciwczołgowych. Dla nas był to powrót do norm wyżywieniowych sprzed okresu bezrobocia, a więc zwiększonych, choć nadal głodowych i niewystarczających.

Pierwszy dzień pracy był wprost koszmarny. Około 1000 więźniów SS-mani prowadzili kilkanaście kilometrów za miasto w kierunku zachodnim. Panowała śnieżna zadymka. Mokry śnieg lepił się do podeszew drewnianych butów, tworząc półkolistą kilkucentymetrową zbitą warstwę, której nie było jak usunąć. Po przejściu kilku kilometrów na takich podeszwach nie można już było iść. Kilku więźniów już na początku drogi padło ciężko w śnieg. Jeszcze nie wiedzieliśmy dlaczego przy każdym z leżących pozostaje po jednym SS-manie. Ci spośród kolegów, którzy posiadali obuwie na skórzanej lub gumowej podeszwie byli szczęśliwcami.

Po przybyciu na miejsce robót byliśmy śmiertelnie zmęczeni i tak skotniaли z zimna, że nie można było utrzymać w ręku żadnego narzędzia, ani łopaty, ani oskarda.

Kończyliśmy robotę przed zmierzchem i wracaliśmy do obozu. Ta powrotna droga była jeszcze bardziej koszmarna wobec wyczerpania całodzienną pracą. Coraz więcej ludzi z braku resztek sił padało w śnieg. Oznaczało to w praktyce koniec wszelkich ziemskich mąk, trosk i bólu, gdyż SS-mani z eskorty strzelali dobijając leżących.

Po przejściu kilku kilometrów i mnie opuściły siły i zwałem się na ziemię. Było mi wszystko jedno, co się ze mną stanie. Powoli mijały mnie szeregi kolegów, nawołując do powstania z ziemi, lecz nie miałem na to sił. Leżałem tak kilka dobrych chwil, kiedy podbiegł do mnie SS-man z eskorty prowadzącej na samym końcu kolumny najbardziej osłabłych w marszu więźniów. Zdzielił mnie kolbą karabinu zmuszając do podniesienia się, po czym wrzasnął: zdejmuj buty! W ten sposób pozostałe kilka kilometrów do obozu przeby-

łem po śniegu w samych skarpetach. Niezaprzeczalnie uratowało mi to życie.

W tym dniu zginęło wielu kolegów, a między innymi jeden z braci Rusiniaków, pochodzący z Białostockiego. Mnie się tym razem udało; po powrocie do obozu nie miałem nawet kataru.

Do dziś nie mogę pojąć, jakimi pobudkami kierował się ten SS-man, każąc mi zdjąć buty. Na pewno nie kierowało nim żadne uczucie litości, gdyż był to mój prześladowca od kilku miesięcy. Zaczęło się to jeszcze w czasie, kiedy pracowałem na II Werku. Dostałem polecenie wyładunku z samochodu opakowań do łożysk. Ponieważ w pomieszczeniu było zimno, przeto dla ochrony kostniejących rąk chwytałem ładunek przez zsunięte rękawy pasiastej marynarki. Wtedy podszedł do mnie ten właśnie SS-man i spytał: simno na renki? Kiedy zdumiony tą dziwną polszczyzną nie odpowiadałem przez chwilę, powtórzył pytanie po niemiecku. Na moją twierdzącą odpowiedź, zamierzył się na mnie kolbą karabinu, przy czym poślizgnąwszy się przy zamachu na topniejącym śniegu, runął jak długi na ziemię. Kiedy się podniósł, skatował mnie tak bardzo, że przez kilka dni jedynie z wielką trudnością mogłem się poruszać. Później zaś znęcał się nade mną przy każdej nadarzającej się okazji, bez powodu. Jestem pewien, że gdyby napotkał mnie w karnej kompanii, nie żyłbym już.

Tym razem jednak jego złośliwość w stosunku do mnie właśnie mnie ocaliła.

Do kopania okopów przeciwczołgowych chodziłem jeszcze przez kilka dni. Zmieniła się jednak pogoda, przeto droga w obydwie strony stała się bez porównania lżejsza. Poza tym mieliśmy już pewne doświadczenie, które pozwoliło zabezpieczyć się przed groźbą śniegu lepiącego się do butów.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.8

Warszawa, marzec 1973 r.

"Revier" /obozowy szpital/

W połowie marca 1945 r. zwała mnie z nóg dolegliwość żołądka, nb. zbierająca w obozie największe żniwo śmierci, zwłaszcza wśród "muzułmanów". I ja już byłem "muzułmanem", do czego znacznie przyczynił się kilkutygodniowy okres zmniejszonych do minimum, i tak skąpych racji żywnościowych. Przez kilka dni chodziłem jeszcze do pracy przy kopaniu rowów przeciwczołgowych, gdyż nie chcieli mnie przyjąć na izbę chorych, zwaną "Revier". Męczyłem się więc bardzo i coraz więcej opadałem z sił. Szczęśliwym dla mnie zbiegiem okoliczności dostrzegł mnie kiedyś St. Kowalski, pełniący "de nomine" obowiązki zastępcy "Lagerältestera", faktycznie zaś prowadzącego magazyn odzieży. Widząc moją mękę, Kowalski kazał mi następnego dnia zgłosić się ponownie na Revier. Dostałem się tam za jego protekcją.

Ulokowano mnie na 2 sztubie, u sztubowego Mariana S. Był to młody chłopak, lat ok. 22, mający jakieś komplikacje z płucami. Tak samo jak i ja dostał się do Revieru przez protekcję, która umożliwiała mu od kilku miesięcy rekonwalescencję, gdyż żadna praca go nie obowiązywała, chociaż inni w tym samym stanie zdrowia musieli chodzić normalnie do pracy.

I mnie spotkało to szczęście, że nie musiałem pracować. Mój żo-

łodek nie dawał mi o sobie zapomnieć w dzień i w nocy. Drugiego dnia pobytu na Revierze dojrzał mnie Revierkapo, zwany "Dzięciołem" /nosił granatową czapkę kolejarzy niemieckich z naszytą na niej czerwoną łatą/. Był nim Polak, młody więzień, o nazwisku Tochyska, podobno były elew szkoły kadetów we Lwowie, dość narwany, mający jednak swoje pozytywne cechy. Podszedłszy do mnie zapytał obcesem: ty chcesz żyć? Pytanie z pozoru dziwne, zwłaszcza że pytany miał dopiero 19 lat. Oczywiście, chcę! To masz nie jeść! nic! Tak długo, jak tylko wytrzymasz! To jedyne lekarstwo dla ciebie, bo inaczej zdechniesz! Później spróbuję cię odkarmić repetà. Zbieraj sobie tylko chleb i susz! Na moją uwagę, że przy tak wycieńczonym organizmie nie wytrzymam głodówki, "Dzięcioł" odpowiedział tylko: musisz!

Posłuchałem tej rady, nie jadłem więc nic przez cztery kolejne dni, a żołądek przestał mi dolegać. Później znów nastąpił nawrót choroby, znów więc głodowałem przez 3 dni, poczem po poprawie i kolejnym nawrocie dolegliwości, głodowałem dalsze 2 dni. Nie wyleczyłem tym sposobem żołądka, bo jego dolegliwości odczuwałem jeszcze długo, nawet po wyzwoleniu. Znacznie jednak zelżały jego dolegliwości, okresami było nawet zupełnie dobrze. W mojej sytuacji głodówka była oczywiście namiastką środków leczniczych - z braku jakichkolwiek lekarstw w obozie - gdyż choroba miała swoje podłoże w ogólnym wycieńczeniu organizmu, pozbawionym podstawowych witamin. Niemniej była skuteczna.

Na Revierze miałem dużo lepsze warunki przede wszystkim dlatego, że nie musiałem chodzić do pracy. Jedynym zajęciem moim i innych kolegów była niemal dwudziestoczęterogodzinne szukanie insektów w odzieży, które rozmnożyły się u wszystkich bardzo z powodu braku możliwości kąpieli i zmiany bielizny, i to od wielu miesięcy. Czasem Marian z nudów wymyślał dla nas jakieś bezsensowne zajęcia, czasem kogoś z chorych więźniów zbił dotkliwie, też chyba z nudów.

Kiedys do umywalni Revieru zaprowadzono więźnia o nazwisku lub przezwisku Patyk. Nie wiem, czym ten człowiek się zaraził. Przez jakiś czas słyszeliśmy tylko jego jęki i krzyki z bólu. Później odgłosy te umilkły, Patyk nie żył już. To sztabowi Tadeusz Osowski i Marian "załatwili" chłopca na zawsze - śmiertelnie.

Spośród sztabowych Revieru na szczególną uwagę zasługiwał Tadeusz Osowski. Ten młody, około 20-letni więzień o przyjemnym z pozoru wygładzie, wywodzący się z inteligenckiej rodziny, najmniej chyba zasługiwał na miano człowieka. Swoich podopiecznych katował w najwyszukańszy sposób, a czynił to z wyraźnym zadowoleniem na uśmiechniętej twarzy.

Na Revierze panowała wysoka śmiertelność. Przypisać to można w części obozowemu wyżywieniu, zawsze głodowemu. Najważniejszą jednak przyczyną zgonów było to, że nie było tam lekarstw. W takim stanie rzeczy wszelkie wizyty lekarza i sanitariuszy; L. Kołakowskiego - studenta medycyny i R. Raczyńskiego, stawały się zwykłą formalnością. Lekarz z reguły sprawdzał tylko, czy stan zdrowia chorego nie polepszył się na tyle, że może iść do pracy, aby zwolnić miejsce dla innych chorych. Obydwaj sanitariusze, w miarę swoich możliwości, starali się pomagać chorym, lecz możliwości mieli znikome.

Z tych to powodów radziecki partyzant, pochodzący z Polesia, złapany przez Niemców gdzieś w Lubelskim, żył na Revierze tylko 2 dni. Przyprowadzony z silną temperaturą Tadeusz Pietrzak z Warszawy zmarł po 3-ch dniach. Innym razem przywieziono z pracy jakiegoś więźnia również z silną temperaturą. Z braku miejsca położono

go na jednej pryczy ze mną. Kiedy następnego dnia rano przebudziłem się, mój współlokator z pryczy był już sztywny, nie żył.

Na krótko przed wyzwoleniem, do mojej sztuzy przyszedł b.kil-kugodzinny Lagerältester z okresu ewakuacji obozu w lutym 1945 r. o nazwisku Wojciechowski. Miał prawdopodobnie daleko zaawansowaną gruźlicę "galopkę", której początków z pewnością nabawił się w karnej kompanii. Tylko tydzień cieszył się wolnością, gdyż wkrótce po oswobodzeniu z obozu zmarł.

Na Revierze był także gabinet dentystyczny, z fotelem i bormaszyną. Lecz urzędujący tam lekarz - stomatolog narodowości francuskiej nie posiadał materiału na plomby. Z konieczności więc co najwyżej wyrywał bolące zęby na żywcą, bo o leczeniu i znieszeniu nie było mowy.

W mojej sztuzy przebywał także Staszek Wachsberger, syn piekarza z Bielska Białej. Jego ojciec natychmiast na początku okupacji został Reichsdeutschem, matka zaś pozostała przy narodowości polskiej. Ojciec spowodował wcielenie wszystkich braci Staszka do Wehrmachtu, jego zaś, jako nastolatka oddał do Reichsarbeitsdienstu, skąd ten po jakimś czasie uciekł. Z braku innego oparcia szukał pomocy u matki, która dostarczała mu jedzenie do znajdującej się w pobliżu domu kryjówki. W ręce Gestapo wydał Staszka jego własny ojciec. Od roku 1940 Staszek przebywał w Auschwitz. Do Gross-Rosen trafił jako jeden z pierwszych więźniów. O warunkach pobytu w tym obozie w latach poprzednich opowiadał wprost niewiarygodne okropności, znał wszystkich obozowych zbrodniarzy, nie wyłączając słynnego Vogla z karnej kompanii. Wiosną 1945 r. Staszek był strzępem ludzkim, gdyż pożerała go gruźlica. Doczekał wyzwolenia obozu, lecz z pewnością nie długo mógł cieszyć się wolnością.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.2.3.6

Warszawa, kwiecień 1973 r.